Cena 60 groszy Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIODNIOWIEC

ROK 6 WARSZAWA—1933— 20 PAŹDZIERNIKA NUMER 36

REDAGUJE KOMITET

Filozofja pacyfizmu *)

Argumenty moralne przeciw wojnie można zgruba podzielić na trzy kategorje; po pierwsze, te które zajmuja się złem, wynikającem z samej istoty wojny, po drugie, te które wskazują na bezużyteczność etyczną „karania“ narodu; po trzecie, te które uwydatniają praktyczną niemożliwość zniszczenia siłą tego, co jest rzeczywiście wartościowe w życiu narodu. Myśli zwolenników wojny w tych trzech kwestjach pełne są zamętu, wynikającego z uprzedzenia. Przełamanie uprzedzenia na korzyść gwałtu jest zadaniem wychowawcy; filozof może tylko zwrócić uwagę na fałszywość i mylność argumentów, które każą ludziom wierzyć, że wojna jest nieunikniona a często nawet dobroczynna.

I

Zło, wynikające z samej istoty wojny, jest tak wielkie i oczywiste, że trudno zrozumieć, jak ludzie mogą traktować je tak lekko, jak to czynią obecnie. Mówi się zawsze o Czar-

---

*) Odczyt wygłoszony na konferencji poświęconej „pacyfistycznej filozofji życia“, która odbyła się w Londynie, Caxton Hall, 8 i 9 lipca 1915 r. Odczyt powtórzony przez tłomaczkę w P. Z. M. W. w Warszawie dn. 30 września 1933 r.

nej Śmierci**) i o Zarazie Londyńskiej***) jako o nieszczęściach narodowych; nie mogą pojąć dlaczego taka sama zagłada istnień ludzkich miałaby przestać być nieszczęściem, gdy jest dokonywana rozmyślnie przez człowieka. Zło to zamaskowane jest przez fakt, że połowę tych strat ponoszą narody zwane „nieprzyjacielskiemi"; połowa ta jest przedmiotem radości, nie zaś smutku, a drugą połowę uważa się za cenę, którą trzeba zapłacić, aby zapewnić sobie to źródło radości. Jedynie jednak zaślepienie wojenne i nieodparte pragnienie zwycięstwa mogą podtrzymywać podobny punkt widzenie. Żołnierze nieprzyjacielscy, podobnie jak nasi, mają matki, które opłakują ich, gdy zostają zabici oraz zdolności, które mogłyby być zużytkowane do wzbogacenia świata zamiast do niszczenia. W konfliktach między narodami cywilizowanemi, jakąkolwiek może być różnica między politycznemi celami rządów, różnica w wartości wewnętrznej samych ludzi jest prawdopodobnie niewielka.

Podkreśla się jednak czasem, że wszystkie te straty są więcej niż powetowane przez wielkie zalety moralne, przejajawiające się podczas wojny. Nie pragnę bynajmniej obniżać wartości odwagi; przypisuję jej równie wielką wartość, co każdy militarysta. Jeśli jednak odwaga istnieje, to nie jest konieczne, aby ją okazywano w rzezi innych równie odważnych ludzi. Faktem jest, że zwolennicy wojny są bardzo stronni w swojem uznaniu dla odwagi: nie znajdują oni życzliwego słowa dla tych, którzy stawiają czoło wzburzonemu pospólstwu lub starają się doprowadzić ludzi do opamiętania w czasie ogólnego podniecenia. A jednak ta forma odwagi jest daleko mniej rozpowszechniona i niewątpliwie posiada daleko większą wartość dla ludzkości.

Poza tą jedną zaletą — odwagą — skutki moralne wojny są niemal całkowicie złe. Nienawiść, okrucieństwo, fałsz i zamiłowanie do gwałtu są uważane w czasie pokoju za występki; niemniej, gdy tylko wybucha wojna, spotykają się one z powszechną pochwałą i zachętą, a natomiast umiarkowanie w którymkolwiek z nich piętnowane jest jako forma zdrady. Skutki te zaznaczają się silniej u tych, którzy pozostają w domach, niż u tych, którzy się biją, ponieważ są one częściowo rezultatem napięcia nerwowego i mogą być złagodzone przez energiczną akcję. Widzimy je jednak w mniejszym lub większym stopniu u wielu walczących. Słyszałem, jak pewien ranny żołnierz — młody szkot o niewinnym wyrazie twarzy — chełpił się wesoło, że przebił na wylot bagnetem bezbron-

**) Czarna Śmierć, groźna epidemja dżumy, która nawiedziła Anglję w 1348 — 1349 r. i spowodowała śmierć około 2 miljonów osób.

***) Zaraza Londyńska, epidemja dżumy, którą dotknięta została stolica Anglji w 1665 r. i podczas której zginęło blisko 70.000 osób.

nego niemca, który ukląkł przed nim, płacząc i błagając o litość. Inny, z którym spotkałem się w pociągu, sprawił wielką przyjemność swym towarzyszom podróży, zapewniając ich, że francuzi nigdy nie biorą jeńców i że obcinają niemcom uszy, aby robić z nich naszyjniki. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej bezecnego od zadowolenia jego słuchaczy. Ci, którzy prowadzą wojny, są odpowiedzialni za dusze tych ludzi równie dobrze, jak za ciała poległych.

Okropności wojny łatwo wywołują u żołnierza wrażliwszego i bardziej humanitarnego typu rozstrój nerwowy, albo tak silny, że wymaga dłuższej kuracji, albo też słabiej zaznaczony, powodujący zobojętnienie, nieuwagę i ogólną niezdolność do wysiłku. Należy się obawiać, że ci, których wojna nie zbrutalizowała, załamią się i będą niezdolni do odgrywania swojej roli w życiu narodowem.

II

Ważniejszą jest rzeczą od rozwodzenia się nad złemi stronami wojny — które powinny być widoczne dla wszystkich, jest zdanie sobie sprawy ze złudnej natury tego dobra, które ma ona rzekomo przynieść.

Sądzi się ogólnie, że Norman Angell oparł swoje antywojenne argumenty wyłącznie na twierdzeniu, że nowoczesna wojna się nie opłaca. W rzeczywistości zrobił on, co mógł, aby wykazać fałszywość wszystkich moralnych, biologicznych i politycznych powodów do usprawiedliwienia wojny; krytycy jednak uczepili się jego argumentów ekonomicznych i odpowiedzieli z tryumfem, że ci, którzy idą na wojnę, nie są brudnymi sknerami, jak pacyfiści, lecz szlachetnymi idealistami, gotowymi do zabijania swych bliźnich, bez względu na koszta, jakie to może dla nich pociągnąć. Niemniej, gdy tylko wojna wybuchnie, ci sami ludzie, którzy przemawiają w ten sposób, będą dowodzili, że nasi nieprzyjaciele przyśpieszyli zbrodniczo nadejście konfliktu i że w celu zmuszenia ich do szanowania pokoju należy wymierzyć im taką karę, aby uświadomili sobie, że wojna nie jest dobrym interesem. Sami militaryści przez swoją chęć udowodnienia, że nieprzyjaciel wywołał wojnę, potwierdzają wszystko, co przyjaciele pokoju mówią o zbrodniczości prowadzenia wojen; a przez swoją wiarę w to, że kara zrodzi umiłowanie pokoju, posuwają się znacznie dalej, niż Norman Angell w obronie tezy, że militaryści prowadzą wojny, ponieważ spodziewają się na nich skorzystać. Jeśli wojna jest tak piękna, jak to nam powiadają, pocoż zrzucać z siebie odpowiedzialność za jej wywołanie? Jeśli motywy prowadzenia wojen są tak idealistyczne, jak to się twierdzi, dlaczegóż przypuszczamy, że dany naród nie wystąpi do walki, jeśli nie będzie miał nadziei zwycięstwa? Szlachetniejsza strona wojny najbardziej się uwydatnia w odważnej walce z przeważającemi siłami, a jednak każdy naród,

idąc na wojnę, czyni wszystko, co leży w jego mocy, aby narzucić swoim przeciwnikom ten rodzaj walki. Całą tę plątaninę sprzeczności uwidoczniają dzieła Bernhardi'ego pisane przed i po wypowiedzeniu wojny. Przed wojną światową utrzymywał on, że wojna jest szlachetna i podnosi poziom moralny, ponieważ jest to jedyny sposób powiększenia Niemiec; teraz utrzymuje, że wojnę tę wywołali nieprzyjaciele Niemiec i że jest nikczemna, ponieważ zmierza do ich powiększenia. Prawdą zaś jest — jak to spostrzegają wszystkie narody, gdy chodzi o ich nieprzyjaciół — że wojny zawsze się prowadzi w celach narodowo-egoistycznych i że rozprawy o szlachetności i odrodzeniu moralnem są czystą hipokryzją.

We wszystkich krajach, biorących obecnie udział w zapasach, godzą się na to, że wojna napastnicza jest zbrodnią. Przeciętny obywatel każdego z tych krajów szczerze wierzy, że wojna została narzucona jego rządowi przez pozbawionego skrupułów nieprzyjaciela. We wszystkich tych krajach uważa się, że ten brak skrupułów czyni ukaranie nieprzyjaciela koniecznością, gdyż w przeciwnym razie stały pokój byłby niemożliwy. Ta cała koncepcja ukarania narodu wydaje mi się z gruntu błędna. Jej źródłem psychologicznem jest pragnienie zemsty, ukarania przestępcy tak, aby doznał cierpień, które zadał. Nie jest już jednak w modzie wypowiadać się za karą tego rodzaju; w dzisiejszych czasach, gdy ludzie pragną wymierzyć karę, uważają po większej części za niezbędne twierdzić, że skutek jej będzie zapobiegawczy, lub umoralniający.

Kara nie może poprawić przestępcy, jeśli nie budzi w nim poczucia winy. Gdyby dzisiaj Niemcom udało się nas zwyciężyć, nie uznalibyśmy się z tej racji za winnych; przeciwnie, uważalibyśmy ten fakt za świadectwo ich starannego przygotowania się do wojny i za niezbity dowód ich napastniczości. Żywilibyśmy chęć odwetu, jak to czyniła Francja od 1870 r. i wojowniczość nasza wzrosłaby zamiast się zmniejszyć. Wszystko to stosuje się w równej mierze do hipotezy porażki Niemiec. Zwykły niemiec potraktowałby klęskę nie jako świadectwo swej winy, lecz jako dowód przebiegłości naszej dyplomacji. Postanowiłby on przygotować się jeszcze lepiej za następnym razem i spełniałby zalecenia swoich militarystów ściślej jeszcze, niż w przeszłości.

Z tych względów ukaranie narodu zapomocą zadania mu klęski na wojnie nie może mieć poprawczego znaczenia. Nie może również działać zapobiegawczo. Nawet jeśli pobity naród jest poważnie osłabiony, pozostanie w nim niewygasłe pragnienie odwetu, do którego prędzej czy później znajdzie sposobność w zmiennej grze sojuszów. Sam fakt, że jakiś naród jest wielce osłabiony w porównaniu z innemi, narusza rownowagę europejską i wytwarza automatycznie nowe i odmiene systemy przymierzy. W tym wypadku gwałtowna nienawiść ze strony któregoś z wielkich mocarstw lub nawet (jak

na Bałkanach) ze strony państw drugorzędnych, czyni ewentualność wojny daleko bardziej prawdopodobną, niżby to miało miejsce, gdyby żadna podobna nienawiść nie istniała. Każda nowa wojna przyzwyczaja umysły ludzi do liczenia się z możliwością wojny i przez to oddala dzień, gdy zostanie powszechnie uznana za niepojętą zbrodnię i szaleństwo. Dla tych powodów ukaranie nieprzyjacielskiego narodu, który uważamy za napastniczy, nie może mieć własności poprawczych, ani zapobiegawczych. Jedynie chęć zemsty nie pozwala ludziom uznać tego niewątpliwego faktu.

Z drugiej strony umiłowanie pokoju wzrasta, gdy jakiś naród, podobnie jak to czynią w obecnej chwili Stany Zjednoczone, wstrzymuje się od walki mimo tego, co pod względem zwyczajowym stanowi niezaprzeczony casus belli i mimo niemal całkowitej pewności zwycięstwa. Fakt że wielki naród może z rozmysłem nie odpowiedzieć na gwałt gwałtem i może zamiast tego obrać sposób postępowania, zmierzający do zmniejszenia ilości przemocy na świecie, jest w stanie otworzyć ludziom oczy na szaleństwo wojny daleko łatwiej, niż najstraszniejsza nawet kara. Gwałt rodzi gwałt, a rozum przemawia do rozumu. W życiu prywatnem wszyscy wiemy o tej prawdzie. Ale w stosunkach między państwami prestiż i duma narodowa zaślepiają nas, podobnie jak to czyniły w życiu prywatnem, gdyż pojedynki były dozwolone. Ludzie przyzwyczajeni do społeczeństwa, w którem panuje nałóg pojedynkowania się, zapytywali mnie czasem, co robi dżentelmen angielski, gdy inny dżentelmen go znieważa. Odpowiedź na to brzmi, że zniewagi prawie nigdy się nie zdarzają. Praktyka pojedynków jest tym czynnikiem, który sprawia, że znieważanie — wydaje się rzeczą nie przynoszącą ujmy dżentelmenowi. Podobnie praktyka wojen zaślepia narody na brutalność dyplomacji opartej na groźbie użycia siły.

III

Każdy niemal europejczyk uznaje w tej chwili zbrodniczość wojny zaczepnej. Każdy naród oświadcza, że nie był napastnikiem; niemniej mamy wojnę, a wojna nie może mieć miejsca bez napadu z czyjejś strony. Działania zaczepne wydają się jednak obronnemi, gdy pogląd na nie zabarwiony jest uprzedzeniem właściwem narodowi napastniczemu. Właśnie obrazy zrodzone w umysłach ludzi i będące treścią ich wyobraźni są ostateczną przyczyną ich działań politycznych. Przed wybuchem wojny zwykły, pokojowo usposobiony obywatel każdego narodu europejskiego wierzył, zupełnie szczerze, że rząd i potentaci jego własnego kraju starają się utrzymać pokój światowy, lecz inne kraje pełne zazdrości i chęci podbojów gotowe są zaatakować jego kraj bez ostrzeżenia, gdy tylko nadarzy się odpowiednia chwila. W każdym kraju przeświadczenie to wytwarzało stan lęku, na który

nie było, jak się zdawało, żadnego lekarstwa prócz coraz większych zbrojeń i ciągle wzrastającej gotowości do natychmiastowego boju. A strategicy zapewniali wciąż ludzi, że atak jest jedyną dobrą obroną. W tym stanie rzeczy nawet najbardziej zaczepne działanie mogło być przedstawione jako wyraz czysto obronnych zamierzeń.

T e m u w ł a ś n i e s t a n o w i p o w s z e c h n e j o b a w y t r o s k l i w i e i p r z e m y ś l n i e p o d s y c a n e j p r z e z m i l i t a r y s t ó w w s z y s t k i c h k r a j ó w p r z y p i s a ć n a l e ż y f a k t, ż e w p r z e s z ł o ś c i l u d z i e n i e n a w i d z ą c y w o j n y p r z y j m o w a l i z r e z y g n a c j ą c i ą g ł e p r z y g o t o w a n i e s i ę d o w o j n y, k t ó r e b y ł o w s z ę d z i e g ł ó w n e m z a j ę c i e m p a ń s t w a. W każdym wielkim kraju znajdowała się niewielka lecz hałaśliwa partja, lubiąca podboje i wojnę zaczepną oraz liczna spokojna rzesza ludzi, wierzących, że podobne partje, choć bezsilne wewnątrz danego kraju, kierowały polityką zagranicy. Stronnicy wojny zaczepnej obwieścili swoje nadzieje w ten sposób, aby dowiedziano się o nich zagranicą i zadali sobie trud zapoznania swoich rodaków z podobnemi nadziejami wyrażanemi przez potencjalnych nieprzyjaciół. Zapomocą tego środka drobna mniejszość wojowniczych ludzi zdołała otrzymać w każdym kraju aprobatę ogółu dla wszystkich swoich zarządzeń, przedstawiając je jako zarządzenia obronne, konieczne dla zapobieżenia wojnie, chociaż ludzie ci wiedzieli doskonale, że w rzeczywistości były to zarządzenia najłatwiej mogące sprowadzić wojnę i najpewniej zwiększające jej siłę niszczącą.

Wzajemne obawy, tak silne już przed wojną, wielce dzięki niej wzrosły. Zdaniem ludności każdego kraju wojna usprawiedliwiała twierdzenie militarystów tego kraju, że narody nieprzyjacielskie czekały tylko sposobnej chwili, aby go zaatakować i uważały wszelkie oznaki jego umiłowania pokoju poprostu za dowód słabości militarnej, a więc za zachętę do swych zamiarów. Wszędzie wojna jest uważana za wojnę obronną. I, jakimkolwiek jest jej początek, staje się ona istotnie od chwili swego wybuchu wojną obronną. Gdyby np. socjaliści niemieccy odmówili brania udziału w wojnie bądź jako żołnierze, bądź też jako robotnicy w fabrykach amunicji, to niema prawie wątpliwości, że wojna przeniosłaby się wkrótce na ziemię niemiecką. Gdy tylko wybucha wojna między wielkiemi mocarstwami, każdy obywatel staje wobec faktu, że jedynie zwycięska walka może uchronić jego kraj od inwazji; cokolwiek może on myśleć jako osoba prywatna o genezie wojny, samo istnienie tej ostatniej podnosi nieuchronnie dominującą kwestję obrony narodowej. Z tego względu najbardziej nawet antyniemiecko nastrojony anglik przyznaje zwykle, że obywatel niemiecki, walcząc za swój kraj w chwili obecnej, spełnia swój obowiązek.

D o p ó k i p r a w o o b r o n y n a r o d o w e j b ę d z i e

uznawane bez zastrzeżeń, póty skuteczna opozycja teoretyczna przeciw wojnie będzie niemożliwa. Dopóki ludzie nie będą mogli przezwyciężyć panicznego lęku, jaki w nich budzi możliwość inwazji nieprzyjacielskiej, póty stan napięcia i przygotowań militarnych, w następstwie którego rodzi się wojna, jest prawie nieunikniony. Sądzę, że zarówno prawo, jak i obowiązek obrony narodu wypływają ze zbyt materjalistycznego pojmowania tego, co stanowi dobro ludzkie i narodowe. Jedynemi rzeczami, o które walczyć warto, są wartości duchowe: ale wartości tych nie zdobywa się siłą i można je obronić bez pomocy armji i floty. Gdyby można było wyjaśnić ludziom, jak w wielkiej mierze cierpienia, które znosi okupowany kraj, są wynikiem oporu stawianego najazdowi, gdyby można było im uprzytomnić, że to, co jest rzeczywiście wartościowe, nie zostałoby narażone na niebezpieczeństwo w razie stawienia najeźdźcy wyłącznie **biernego oporu**, to należy przypuszczać, że strach prowadzący do wojny uśmierzyłby się nieco i że pękłoby jedno ogniwo — tragicznego łańcucha gwałtu ukutego przez rzekomy obowiązek obrony narodowej.

Sądzi się czasem, że obrona jest rzeczą usprawiedliwioną ponieważ napad nie da się niczem usprawiedliwić. Najwidoczniej wielu ludzi uważa, że podczas wojny jedna ze stron musi mieć słuszność. Wydaje mi się, że podczas wszystkich niemal wojen obie strony nie mają słuszności. Gdy jeden naród atakuje drugi, strona atakująca jest bardziej winna od broniącej się, ale nie wynika stąd, że strona broniąca się jest wolna od winy. W większości wypadków zwady między cywilizowanemi narodami, zarówno groźba użycia siły, jak i opór czynny są szkodliwe, chociaż nie w tym samym stopniu. Naród, który przeciwstawiłby sile jedynie bierny opór, zdyskredytowałby uciekanie się do siły w stosunkach międzynarodowych bardziej, niż mógłby to kiedykolwiek uczynić naród, odpowiadający na siłę siłą. Bierny opór zdyskredytowałby posługiwanie się siłą dzięki zbudzeniu poczucia wstydu w narodzie napastniczym a także dzięki faktowi, że okazałby się zdolny do zabezpieczenia wszystkiego, co warte jest zachowania w życiu narodu, który miałby odwagę go zastosować.

Tak w życiu osób prywatnych, jak i narodów, większość sytuacyj da się opanować zapomocą tej podwójnej zasady: Ani nie robić użytku z siły, ani też jej nie słuchać. Jest to dobrze znana teza Platona, że człowiek, który popełnia niesprawiedliwość, jest bardziej godny pożałowania, niż człowiek, który ją znosi. Ale podobne twierdzenia czyta się z uśmiechem jako czarujące paradoksy literackie, zawierające zbyt mało mądrości praktycznej, aby się można było niemi kierować w życiu. Jednakże użycie siły dla ugięcia woli innego człowieka, nawet w tych rzadkich wypadkach

gdy się da usprawiedliwić, wytwarza brutalny i tyrański stan umysłu i niszczy spokój wewnętrzny bardziej, niż jakiekolwiek nieszczęście, mogące spaść z zewnątrz. Największem dobrem, jakie można osiągnąć w tem życiu, jest mieć wolę i pragnienia skierowane ku powszechnym celom i oczyszczone z egoizmu, cechującego instynktowną wolę. Człowiek, który raz poznał to dobro, nie będzie uważać żadnego prywatnego celu za dostatecznie ważny, aby dla niego walczyć; może się zgodzić na próbę siły, lecz w takim razie będzie mu chodziło o jakiś cel poza jego własnem życiem, ponieważ to, co jest najlepsze w jego własnem życiu, nie może mu być odjęte przez innego człowieka. Chociaż jednak nie będzie on rozkazywał innym dla osobistych celów, lecz nie da się również odwieść od celów powszechnych; nie zechce ani słuchać, ani rozkazywać i będzie bronić swej własnej wolności z tą samą skrupulatnością, z jaką potrafi uszanować wolność innych.

Zupełnie te same rozważania stosują się do postępowania narodów, lecz zaciemnione są przez tradycyjne frazesy o „honorze", „patrjotyzmie", „świętych tradycjach" lub „obronie kobiet i dzieci". Sądzi się, że naród, który nie odpowiada na siłę siłą, powoduje się tchórzostwem i musi stracić wszystko, co jest wartościowe w jego cywilizacji. Obie te opinje są złudzeniem. Przeciwstawienie się sile zapomocą biernej odmowy posłuszeństwa wymagałoby więcej odwagi i dawałoby daleko większą pewność zachowania najlepszych elementów życia narodowego. Uczyniłoby też daleko więcej dla zdyskredytowania prawa pięści. Bierna odmowa posłuszeństwa byłaby metodą wskazaną przez mądrość praktyczną, gdyby można było przekonać do niej ludzi. Osoby, które występują przeciw doktrynie, że siła jest prawem, utrzymują zawsze, że dla obalenia jej wystarczy wykazać, że siła jest po ich stronie. Jednakże byłoby to repliką tylko wtedy, gdyby ich strona nie miała słuszności i argument ich dowodzi, że w rzeczywistości wierzą oni w doktrynę, którą rzekomo zwalczają. Ci, którzy naprawdę nie dają tej doktrynie wiary, nie będą się kusili o jej obalenie zapomocą pozyskania siły dla swojej strony.

Coby się stało, gdyby Anglja wprowadziła na przeciąg życia jednego pokolenia naukę zasad biernego oporu, poczem rozpuściła swoją armję i flotę? Każdy rząd zagraniczny, który pragnąłby skorzystać z naszej bezbronności, musiałby się spotkać od samego początku z opozycją własnych obywateli, a mianowicie wszystkich tych elementów, które nie byłyby całkowicie zbrutalizowane, gdyż nie możnaby znaleźć żadnego pretekstu dla zamaskowania napadu. W podobnym wypadku byłoby rzeczą niemożliwą znaleźć usprawiedliwienia w rodzaju tych, jakich zawsze szukają narody cywilizowane, gdy rozpoczynają wojnę. W obecnej wojnie Niemcy zaatakowali Francję, ponieważ Francja miała armję, a Anglicy zaatakowali

Niemców, dlatego że Niemcy miały flotę. Gdyby bezpieczeństwo narodowe nie mogło służyć za pretekst, byłoby prawie niemożliwe przezwyciężyć opozycję wszystkich ludzi ożywionych duchem liberalnym przeciw najazdowi, który nie mógłby mieć żadnego motywu prócz rabunku.

Gdyby nawet wysłano ekspedycję, nie znajdowałaby się ona w stanie obawy zmieszanej z okrucieństwem, który charakteryzuje armję okupacyjną, zajętą tłumieniem zbrojnego oporu; dyscyplinę łatwo byłoby utrzymać a okrutne czyny byłyby rzadkością. Większa część okropności towarzyszących najazdowi nie miałaby miejsca. Gdy tylko jednak najeźdzcy spróbowaliby utworzyć rząd cywilny, możnaby im odpowiedzieć strajkiem generalnym. Metoda ta, gdy się ją stosuje na wielką skalę, może przynieść zwycięstwo w konfliktach wewnętrznych, jak to widzieliśmy w Rosji w 1905 roku. W państwie cywilizowanem, wysoko stojącem pod względem organizacyjnym i politycznym, niepodobna rządzić bez zgody rządzonych, chyba że ludność jest bardzo nieliczna w porównaniu z uciskającym ją narodem. Każdy cel, dla którego znaczna ilość ludzi gotowa jest głodować i umrzeć, może być osiągnięty zapomocą środków politycznych bez potrzeby jakiegolwiek uciekania się do siły. A jeśli to jest prawdziwe w stosunku do rzeczy pożądanych jedynie dla mniejszości, to tysiąckrotnie prawdziwsze jest, gdy chodzi o rzeczy, których pragnie jednomyślnie cały naród.

Podobna metoda opierania się najazdowi wymagałaby naturalnie męstwa i dyscypliny. Ale męstwo i dyscyplina są potrzebne także i na wojnie. Przez całe wieki wychowanie szło przeważnie w kierunku wytworzenia tych zalet na użytek wojny. Dziś rozpowszechnienie ich jest tak wielkie, że w każdym kraju cywilizowanym niemal wszyscy ludzie godzą się umrzeć na polu bitwy w chwili, gdy ich rząd uzna to za właściwe. Ta sama odwaga i idealizm, które oddaje się teraz na usługi wojny, mogłyby być równie łatwo skierowane przez wychowanie w łożysko biernego oporu. Nie wiem, jakich Anglja dozna strat, nim zakończy się obecna wojna, ale nikt nie będzie się dziwił, jeśli dojdą miljona. Daleko mniejsza liczba strat poniesionych naskutek biernego oporu dowiodłaby każdej armji okupacyjnej, że poddanie Anglji obcej władzy jest niemożliwością. A przytem dowód ten byłby przeprowadzony raz na zawsze bez zdawania się na wątpliwe koleje wojny.

Przyjęciu przez nas systemu biernego oporu stoi na przeszkodzie częściowo obawa, ale częściowo także i „duma" mocarstwowa. Trzeba bowiem przyznać, że system ten nie może nam zachować tych części naszego imperjum, które trzymamy siłą. Chociaż jednak dumy mocarstwowej nie możnaby zaspokoić bez armji i floty, lecz inny rodzaj dumy, bardziej

godny zachęty, znalazłby pole działania, którego jest pozbawiony obecnie. Duma mieści się w rzędzie cnót zarówno w życiu jednostek, jak i narodów. W tej mierze, w jakiej jest cnotą wyraża się ona w postanowieniu dążenia do celów, które dany człowiek uważa za dobre, bez względu na to, jaki zostanie użyty nacisk zewnętrzny, aby go od nich odwieść, Dumnym jest Gondorcet, który, będąc skazanym na śmierć, poświęca swoje ostatnie dnie pisaniu książki o postępie ludzkości. Dumni są ci, którzy w czasie prześladowań nie chcą się wyprzeć swych przekonań religijnych. Taka duma jest najszlachetniejszą formą odwagi; dowodzi ona tego samookreślenia woli, które jest istotą swobody duchowej. Ale podobna duma powinna mieć jako dopełnienie prawidłowe pojęcie o tem, co stanowi dobro ludzkości, a jako odpowiednik szacunek dla swobody innych, równie bezwzględny, jak postanowienie zachowania naszej własnej swobody. Zupełnie ten sam rodzaj dumy jest dobry w życiu narodu. Jeśli mamy złą opinję o wojnie, a natomiast jakiś inny naród stawia ją wysoko, niech nasza duma narodowa przejawi się w tem, że będziemy żyli bez wojny, jakkolwiek silną pokusę mógłby nam dawać ten naród, by żyć raczej według jego ideału, niż wedle naszego. Niemcy, jak nam się daje do zrozumienia, nienawidzą nas z całej duszy i pragną wierzyć, że żywimy dla nich te same uczucia, co oni dla nas; gdyż nieodwzajemniona nienawiść jest równie gorzka, jak nieodwzajemniona miłość. Sprawili oni, że jest nam coraz trudniej nie zadowolnić ich pragnienia, lecz w tej mierze, w jakiej zdołamy uchronić nasz opór od goryczy, odniesiemy duchowe zwycięstwo nad tem, co zasługuje na zwalczanie w nieprzyjacielu — zwycięstwo daleko ważniejsze od tego, które się odnosi przy pomocy armat i bagnetów.

Bierny opór, gdyby go zastosowano rozmyślnie, z woli całego narodu, z tą samą odwagą i dyscypliną, jakie się obecnie okazuje na wojnie, mógłby daleko skuteczniej ochronić to, co jest dobre w życiu narodowem, niż armja i flota nie wymagałby przytem rzezi, ruiny i powodzi brutalności, które wojna nowoczesna pociąga za sobą.

Bertrand Russel

Autoryzowany przekład z oryginału angielskiego

Amelji Kurlandzkiej

Odradzający się dogmat

Powiedzmy sobie odrazu, że dogmat katolicki był w gruncie rzeczy dogmatem politycznym, bo samaż religja rzymsko-katolicka była zawsze o tyle polityką, iż domagała się od wiernych uległości nietylko kościelnej, ale polityczno-społecznej. Jeszcze podczas rewolucji francuskiej papieże wyrażali najgłębszy i wierzymy, że szczery żal nad tem, iż ruch rewolucyjny zmiótł z powierzchni życia „najdoskonalszą formę rządu", jaka istniała w postaci władzy królewskiej.

Gdy upadła ostatecznie władza cezaro-papieska, czyli połączenie władzy królewskiej z władzą papieską, miejsce jej zajęła zasada władzy ludu, która nigdy nie trafiała do przekonania watykanizmowi. Godził się z ludowładztwem, bo opór nie zdał się na nic, ale w gruncie rzeczy wierzył w powrót panowania dogmatu, czyli w samowolne jedynowładztwo. Gdy Mussolini zaprowadził we Włoszech faszyzm na miejsce demokracji, papież uznał go za męża opatrznościowego. Należy zwrócić uwagę na fakt wysoce znamienny, że zarówno faszyści włoscy, jako i hitlerowcy niemieccy są restauratorami panowania kościołów nad ich poddanymi. Oczywiście, nie chodzi tu o filozofję religji, o jej mitologję, czy metafizykę, lecz o te realne usługi kościoła, które już dawno określono dosadnem mianem taniej żandarmerji.

Ożywanie panowania dogmatu najdobitniej charakteryzują Niemcy współczesne. Od czasów reformacji Lutra rozwijała się tam demokracja polityczna, kościelna i naukowa. Wolność sumienia i wolność badania to były dwie strony tej samej sprawy. W wieku zeszłym nauka niemiecka była rozległą dziedziną wolności, której zdawało się nikt i nigdy nie odważy się zakwestjonować. Uczony niemiecki, czy to był marxista, czy ateista przyrodnik, czy liberalistyczny i krytyczny teolog, a raczej religjolog, znajdował się pod opieką rządzącej moralnie opinji publicznej i śmiało mógł wypowiadać swoje przekonania oraz ogłaszać wyniki badań. Stary Strauss mógł wszechstronnie rewidować stosunek społeczeństwa do religji i dochodzić do wniosków zgoła negatywnych. Nietzsche miał już możność wypowiedzenia jawnej walki chrześcijaństwu, a jednemu z najkapitalniejszych dzieł swoich dać tytuł „Antychryst". Gdy zważymy, że jeszcze Kant w wieku osiemnastym musiał epokowe myśli swoje stylizować bardzo oględnie, a nawet wchodzić w kompromis z nakazami państwa policyjnego, wiek miniony był w Niemczech wiekiem olbrzymiego postępu i idealnej wprost wolności.

Społeczeństwo niemieckie w $^2/_3$ prostestanckie całym swoim sposobem myślenia i odczuwania nadawało ton kulturze Rzeszy i właśnie protestantyzm niemiecki przyczynił się w mierze niemałej do powstania i rozwoju religjologji, która zniwelowała wiele dawnych wierzeń kościelnych, a pośrednio

przyczyniła się do rozkwitu modernizmu katolickiego, który wprawdzie został potępiony przez papieża, ale istnieć nie przestał. Liberalistyczna teologja protestancka rozłożyła wierzenia chrześcijańskie od wewnątrz, wykazując z niebywałą w dziejach erudycja, że wiara chrześcijańska i jej organizacja kościelna, to w gruncie rzeszy systemat grubych nieporozumień. Pracowici uczeni niemieccy dostrzegli znaczenie psychologiczne eschatologji (nauki o rzeczach ostatecznych i końcu świata) chrześcijańskiej i nie zawahali się powiedzieć, że Jezus, zapowiadając bliski koniec świeta, mylił się w ocenie sytuacji światowej. Nie omieszkano też skorygować krytycznie całego szeregu faktów referowanych przez ewangelistów i wskazano na mnóstwo sprzeczności w tekście pisanym i w tradycji ustnej.

Ta nauka o religji nie była bynajmniej jakimś sekretem fachowców, ale rozchodziła się po świecie w licznych publikacjach naukowych i w miljonach dzieł i dziełek popularnych, przeznaczonych na użytek najszerszych kół oświeconego świata. I ta nauka wykonała dla zdemokratyzowania świata więcej, niż ktokolwiek przypuszczać może. Ale zarazem była ona jałowym intelektualizmem i akademizmem, który wdawał się w kompromisy najgorszego gatunku. Wielki uczony, który z katedry uniwersyteckiej wysyłał w świat zdobycze olbrzymiej wiedzy i niwelował do gruntu przedmiot wiary chrześcijańskiej, przemieniał się nagle w jakiegoś bardzo prymitywnego chrześcijanina, gdy z okazji dajmy na to uroczystości akademickiej wygłaszał w kościele zdawkowe kazania na dowolny tekst biblijny. Wtedy przemawiał tak, jak mógłby przemawiać pobożny pleban katolicki, nie mający najmniejszego wyobrażenia o stania badań nad religjami wogóle i nad chrześcijaństwem w szczególności. To rozdwojenie wewnętrzne na bohaterstwo nieustraszonego poszukiwania prawdy i głoszenia jej z katedry, i na konserwatyzm wymagany przez rządzące koła państwowe, czyli na łączenie ognia z wodą, zemściło się na przedstawicielach wiedzy niemieckiej dotkliwie.

Dzisiaj jesteśmy świadkami czegoś poprostu monstrualnego. Nawet najzagozalszy wróg chrześcijaństwa, jakim był Nietzsche, nie odmówił mu nigdy pewnej i wyrazistej linji moralnej. Radykalizm etyczny chrześcijaństwa wyłączał kompromis między bogiem a mamoną, między wyczekiwanem królestwem bożem a królestwem szatana. Gdy przewrotny Konstantyn zaprząągł do swojej polityki kościół chrześcijański i zrobił z niego narzędzie swoich dążeń, idea Chrystusa została przekreślona: królestwo jego nie z tego świata stało się jednym z filarów królestw z tego świata. Przeciwko tej degradacji kościoła występowały od czasu do czasu gromadki ludzi zwanych wzgardliwie sekciarzami, ale te odruchy sekciarstwa były coraz rzadsze i słabsze, aż wreszcie tron i ołtarz znalazły się w takiem pobliżu, iż nikt nigdy nie zdołał ustalić, czy tron wspiera ołtarz, czy ołtarz wspiera tron, czy też obie in-

stytucje tworzą spółkę bez jakiejkolwiek odpowiedzialności wobec świata i historji.

Gdy kwitła kultura, czyli w gruncie rzeczy wolność ducha ludzkiego, ołtarz i tron znajdowały się w cieniu, gdy tylko skutkiem kataklizmu wojny światowej kultura zachwiała się poważnie, ołtarze, trony i ich wspólne dogmaty odzyskały dawny wspaniały blask. Poupadały wprawdzie wielkie stare trony cesarskie i królewskie, ale powstało wielkie mnóstwo tronów dyktatorskich, a przedewszystkiem partyjnych. Partja rozrosła się jak nigdy dotychczas i w Niemczech naprzykład wchłonęła całe państwo. Stał się bowiem ten cudacki paradoks, że partja Hitlera nie jest już dzisiaj partją w Niemczech, ale Niemcy zostały wtłoczone do tej partji wbrew swej woli.

I zrodził się dogmat polityczno-kościelny bardziej nietolerancyjny, niż wszystkie dotychczasowe dogmaty. Kościół rzymski, który jeszcze tak niedawno nie puszczał hitlerowców do kościoła, o ile przybywali w mundurach ze swastyką, albo nawet zbiorowo, stał się nagle ogromnie wyrozumiały dla całego ruchu hitlerowskiego i zapomniał o własnych dogmatach wobec nowego dogmatu politycznego. Jedno stało się jasne: trzeba się przyczaić i czekać. Góra z górą się nie zejdzie, ale dogmat z dogmatem się zejdzie. Zeszedł się jeden z drugim na gruncie konkordatu. Kościół rzymski poczeka i w chwili odpowiedniej wydobędzie gruszki z popiołu. Bo wszystkie gruszki w popiele dopiekają się zawsze dla tego, kto umie czekać i w odpowiedniej chwili potrafi po nie sięgnąć. Kościół rzymski ma czas, gdyż nie on pracuje, ale na niego pracują.

Gorzej jest z kościołem protestanckim. Mniejsza o to, że się z dobrej i nieprzymuszonej woli rozłożył przed Hitlerem, bo co jest zmurszałe, musi upaść, ale ta masa serwilizmu, która ujawniła się nagle w tej instytucji wyrosłej w walce o wolność ducha, jest czemś przerażającem. To jest lawa, która z wulkanu niemieckiego rozlewa się po świecie i zaraża umysły i dusze służalczością niemiecką (Bedientensinn, jak to nazywają samiż Niemcy). Antysemityzm w kosciele wyrosłym z pnia żydowskiej umysłowości jest czemś tak paradoksalnem, iż cały domniemany radykalizm rewolucji hitlerowskiej uznać trzeba za najpotworniejszy chyba kompromis historji świata. Bo cóż z tego, iż paragrafem aryjskim wyłączono z pośród duchowieństwa kościoła protestanckiego wszystkich żydów albo ludzi pochodzenia żydowskiego, skoro przecież w dalszym ciągu odbiera w tym kościele boską cześć Jezus, syn narodu żydowskiego. Apostołowie i autorowie listów Nowego Testamentu to przecie żydzi, to zaś, co napisali, zrodziło się chyba z ich ducha, czyli z ducha żydowskiego. A tymczasem ten olbrzymi fakt został w sposób kompromitujący przemilczany. Kompromis w radykaliźmie rewolucyjnym i to takich wymiarów,—tego jeszcze nie było i to mogło się zdarzyć tylko w atmosferze tego biernego intelektualizmu i akademizmu nie-

mieckiego, który nie odważał się wysnuwać wniosków ze swoich własnych założeń. Teraz kościoły ewangelickie z wielkim hałasem wyrzucają z liturgji słowa: Amen i Alelluja, bo to są słowa żydowskie, ale kościół sam pozostaje chociaż zrodził się śród żydów i z ducha żydowskiego jest poczęty.

I rzecz dziwna, podczas gdy przed wojną nawet cesarz Wilhelm podlegał krytyce i to niejednokrotnie bardzo ostrej i zjadliwej, dzisiaj niema w całych Niemczech tyle odwagi, aby został poddany krytycznej ocenie największy symplifikator polityki światowej. Znachorstwo polityczne wyniesione na tron jakichś specjalnych „objawień bożych" i kościół zarówno ewangelicki, jak rzymski, stały się podnóżkiem dyktatora, którego siła spoczywa w braku jakiejkolwiek kultury umysłowej. Przeczytał kilka broszur antysemickich, nałykał się frazeologji polityczno-demagogicznej, wziął to wszystko na serjo, przypiął numerek trzeci do Rzeszy, dał hasło pobudkowe, jakby budził wielkie koszary i stało się: dogmat polityczny podaje rękę kościelnemu a ta wiedza, która od stuleci likwidowała wszelkie dogmaty, stuliła uszy po sobie i na uniwersytetach niemieckich wygłupia się na tematy rasowe.

To jest reakcja, po której przejdzie nowa akcja i narodzi się nowa demokracja. Ale ta nowa demokracja będzie po szkodzie o tyle mądrzejsza, iż już nie będzie bezczynnie czekała na nowych dyktatorów, którzy ją zdmuchną z widowni świata. Wola istnienia stanie się i dla niej wolą mocy. Powracający dogmat będzie musiał cofnąć się w przeszłość, a świat będzie zadawać sobie pytanie, jak to było możliwe, że niedorzeczność mogła była dojść do władzy i trzymać się przy niej tak długo.

P. Hulka-Laskowski

Zerwijmy maskę obłudy!

(Artykuł polemiczny)

W Nr. 28 „Wolnomyśliciela" z dnia 20 sierpnia r. b. ob. W. Rulikowski w art. p. t.: „Warchoły konkordatowe" omawiając artykuł p. Wojciecha Stpiczyńskiego z „Kurjera Porannego" p. t.: „Do czego to prowadzi?" wpadł, że tak powiem, w nutę rozczulenia i dał poklask p. W. Stpiczyńskiemu, nazywając go „jednym z najzdolniejszych publicystów[1]). I dziwnie jakoś się złożyło, że w tym samym numerze, ob. H. Wr. zamieścił art. Wincentego Rzymowskiego, z tegoż „Kurjera" p. t.: „Socjalizm, a walka z obskurantyzmem".

---

[1]) Trudno, p. Stpiczyński jest jednym z najzdolniejszych publicystów polskich i na to niema rady. To, że należy do obozu sanacyjnego, nie umniejsza bynajmniej jego talentu literackiego. Przynależność partyjna, jako sprawa sympatji lub interesu, to co innego, a talent też co innego. Sienkiewicz był wstecznikiem i klerykałem, a jednak najbardziej czerwony rewolucjonista i ateusz musi przyznać, że był wielkim pisarzem. To samo można powiedzieć o Nowaczyńskim i o wielu innych.

Dwa światoburcze nazwiska sanacyjne znalazły, tuż obok siebie, miejsce na łamach „Wojnomyśliciela“ [2]). Nie możnaby nic mieć przeciwko tym tyradom światoburczym panów z „Kurjerka“ gdyby nie pewne „ale“, które każe, do rzeczy poruszanych przez tych panów, podchodzić z pewną dozą krytycyzmu i pewnem zastrzeżeniem.

Przecież — muszę z miejsca powiedzieć — ci panowie od lat służą temu, przed tem pokłon biją i z tem współdziałają, co się w Polsce dzieje, a jak się dzieje — o tem troszkę wspomnimy.

---

[2]) A dlaczegoż miałyby się nie znaleźć i to razem? Jeżeli poruszą sprawy, które nas obchodzą? Oto przykład, do czego niektórych wolnych myślicieli może doprowadzić zacietrzewienie stronnicze i fanatyzm partyjny, tak samo nielicujący z wolnomyślicielstwem, jak i fanatyzm religijny. Ponieważ to sprawa dość ważna, poświęćmy jej parę słów wyjaśnienia.

Bezstronność każe przyznać, że w prasie sanacyjnej różnych odcieni (bo odcieni jest w tej prasie sporo), coraz częściej znajdujemy głosy antyklerykalne, choć nie stawiają one kwestji tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Przyznajemy, że dla nas są to objawy symptomatyczne. Czy są one szczere? — niewątpliwie tak — choć mogą być... niedociągnięte i spowite niedomówieniami.

Naszym publicystycznym obowiązkiem jest zwracać na nie uwagę — i to robimy. Te antyreligijne akcenty na łamach prasy sanacyjnej mają — naszem zdaniem — kilka przyczyn. Pierwsza jest coraz większe uświadomienie w sferach rządowych, że kler za nic nie zejdzie—ani za kapelusz kardynalski dla Lauriego ani za ks. Zongołłowicza, ani nawet za ustawę o przymusowych składkach na kościół, ze swego opozycyjnego stanowiska w stosunku do wszystkich rządów, które nie dadzą mu wodzić się za nos bez zastrzeżeń. Stronnictwo rządowe coraz więcej przekonywa się, że tych kilku księży, którzy znaleźli się w BB. — weszli tam jako obserwatorzy i konfidenci sowietu biskupiego — jako szpiedzy, a nie jako sprzymierzeńcy faktyczni. Powtóre sanacja jako partja rządząca państwem, musi coraz niechętniej odnosić sie do kliki watykańskiej, która nieprzestaje sięgać w Polsce po władzę. A takich konkurentów żadna partja rządząca nie znosi i nie zniesie. Po trzecie, w BB. jest mimo wszystko wiele ludzi prawdziwie niezależnie myślących, którzy zżymają się na to, co kler robi i do czego dąży. Mimo więc nałożonego na usta tłumika partyjnego — temu i owemu z członków BB. wyrwie się od czasu do czasu jakieś „niebaczne“ słowo lub artykuł, mówiący wiele o tem, co się w głębi niejednego z nich dzieje. I to są właśnie te pocieszające bądź co bądź symptomy, na które chcemy naszym czytelnikom zwrócić uwagę. Autor artykułu chyba dobrze o tem wie, że w każdej partji politycznej obowiązuje pewna dyscyplina i nierobienie lub niemówienie tego, czego ze względów taktycznych partja sobie nie życzy. Tak jest niewątpliwie i w B. B. Dlatego wszystkie deklaracje wolnomyślicielskie stale to podkreślają, że Wolna Myśl nie jest partją polityczną, ani w żadnej partji politycznej się nie mieści; ci co tę deklarację układali i uchwalali, doskonale zdawali sobie sprawę, że w każdej partji politycznej niema miejsca ani na wolne myślenie (chyba pocichu), ani na wolność słowa, ani na wolność przekonań, ani na wolność prasy. A w każdym razie, jeżeli te wolności nie są całkowicie w partji wykluczone — to są one ograniczone. Dlatego niema wolności myśli ani w faszyzmie, ani w hitleryzmie, ani w komunizmie—tak jak jej niema i w katolicyzmie, który jest również partją polityczną. Ponieważ „Wolnomyśliciel“ jest pismem wolnomyślicielskiem a nie partyjnem—mogły się na jego łamach znaleźć takie nazwiska, (a raczej ich głosy), jak W. Stpiczyńskiego i W. Rzymowskiego. Red.

Pan Wojciech, pisząc o „nieetycznem zachowaniu się księży“, które czasami (? przyp. r.) jest w najwyższym stopniu drastyczne — jest niekonsekwentny (?), a raczej konsekwentny, gdyż doskonale wie, że nie może dwom bogom służyć: wstecznictwu i wolnej myśli...

Pan Wojciech Stpiczyński, mając cały arsenał skarg, który — jak pisze — ostatnio wzmógł się zastraszająco, nie pisał o nich, (choć mógłby, sądzę, stałą rubrykę wprowadzić), a chwycił za pióro dopiero wtedy, gdy urażono jego sanacyjne serce, gdy skandalik klerykalnego zachowania się, dotknął sanacyjnego „Strzelca“, córeczki jego wodza, a „niesanacyjny“ ks. wikary Sobczak, nazwał „sanacyjnego“ ks. Żongołłowicza „księdzem zwykłym“ „To jest nieposzanowanie władzy“—oburza się p. Stpiczyński. (Stąd wniosek, że p. Wojciech gotów jest darować klerowi wszystko złe — niech sobie hula i swawoli po Polsce, ale niech to robi z opozycjonistami, ich organizacjami i dziećmi, ale sanacji niech da spokój i niech z nią współpracuje, — jak to robi ks. Żongołłowicz). „Potóż wznosimy tu na ziemiach naszych świątynie chrystusowe—rozlega się hiobowe wołanie p. Stp. — by w nich nikczemnem i bezkarnem słowem ksiądz uśmiercał naszych dzielnych żołnierzy? Czy poto otaczamy szacunkiem suknię duchowną, by cały jej autorytet moralny był używany do łamania dusz rycerskich i dzielnych; do spychania ich w błoto pogardy?“

Panu Stpiczyńskiemu jak echo zawtórujemy:

— Urażony przez księdza żołnierz strzela do siebie, — a regulaminy wojskowe zmuszają żołnierzy do praktyk religijnych. „Żołnierz, niechodzący do kościoła i niewykonywający praktyk religijnych—to bydle!“—poucza dobitnie, całym swoim autorytetem, dowódca kompani (autentyczne!). I biada żołnierzowi, gdyby się chciał od tego „obowiązku“ uchylić...

— Radjo nasze nazywa się „polskie“— i państwo, a tem samem rząd (a rząd mamy przecież nie inny, tylko ten, który p. Stp. popiera)—ma wpływ na jego programy. Przypomnijmy sobie rwetes, jaki powstał po wygłoszeniu w Polskiem Radjo odczytu przez ob. Saczyńskiego —i już jakoś od onego czasu, ani jeden wolnomyślny odczyt nie zamącił „nabożeństwowych“ fal stacji raszyńskiej. Natomiast Polskie Radjo karmi nas codziennie, aż do znudzenia, rano, w południe i w każdej dnia godzinie—klerykalnemi kawałami: msze, sumy, nabożeństwa: majowe, czerwcowe, różańcowe, zwyczajne i nadzwyczajne, odczyty, pogadanki i akademje, w których uczestniczą najwyżsi dostojnicy państwa...

...I to wszystko „Polskie Radjo“ na swych falach niesie do uszu maluczkich. Czy tu maluczki ma się nad czem zastanawiać i snuć rozmyślania? Nie... Skoro takie powagi chodzą za procesjami i cudownemi obrazami...

Czy p.p. z „Kurjera“ nie mają odwagi szczerego zażądania od rządu, aby to całe zakłamane radjowe bractwo przegnać na cztery wiatry?...

— Żaden rząd nie wykazał tyle gorliwości o budowę kościołów, co obecny, za którego kościoły opatrznościowo-dziękczynne wyrastają jak grzyby po deszczu, kosztem pokaźnych sum z pieniędzy podatkowych.

— Czy który rząd w Polsce niepodległej obdarzył kler podatkiem kościelnym? (Pan Wincenty Rzymowski dowodzi, że rząd dlatego obarczył najbiedniejszych parafjan podatkiem kościelnym, że socjalizm polski, aby dokuczyć rządowi, schlebia i w pychę wbija biskupów, a rząd musi dbać o względy tych panów i obłaskawiać ich potem cudzym kosztem; żeby nie te przeklęte socjalisty, to rządby nie dał, rząd nie jest taki!...)

— Co stoi na przeszkodzie rządowi wprowadzenie ksiąg akt stanu cywilnego dla bezwyznaniowych? Kogo się rząd boi? W czyim interesie leży sztuczne klajstrowanie bezwyznaniowców z katolikami? Komu w rządzie zależy na tem, aby sprawa ta odkładana była na całe lata? Czy rząd nie jest przez swoje organa dostatecznie poinformowany, ile piekła przechodzi bezwyznaniowy z powodu braku nieszczęsnych tych ksiąg? I poco tworzyć tych męczenników, dla kogo?...

I czy w tych wszystkich sprawach p.p. z „Kurjera“ pisnęli choćby jedno słówko? Czy polecono im może o tem nie pisać?...

— Wspomnimy jeszcze okólnik bartlowy, przymus odbywania praktyk religijnych w więzieniach i wreszcie rzućmy okiem na zbożną pracę ministerstwa W. R. i O. P. w jego klerykalizowaniu szkoły. Mam na myśli nowe programy szkolne, które wkładają na dzieci obowiązek,— co znaczy tyle, co przymus — noszenia amuletów, znania żywotów świętych, czytania czasopism klerykalnych (np.: „Mały apostoł“, „Cześć Marji“, „Rycerza Niepokalanej“ i t. p.), przystępowania do „sakramentów świętych“, znania cudowno-odpustowych miejsc w Polsce, brania udziału we wszystkich nabożeństwach i wogóle we wszystkich ceremonjach kościelnych...

A potem... gdy te wszystkie skarby wychowawcze nieskończonej wartości wtłoczą w umysły młodzieży... gdy żołnierze i więźniowie „z rozkazu wyższej władzy poznają światło wiary prawdziwej“—jak mówi Sałtykow Szczedrin... gdy ludek zobaczy, jak najwyżsi dostojnicy państwa kroczą za „sukienką“ kapłańską, jak szamani paradują, poświęcają, rozgrzeszają, chrzczą, żenią i grzebią—tak iż życie bez nich jest nie do pomyślenia... gdy zobaczy otwarte kościołów podwoje i wypełni te kościoły po brzegi... wtedy p. Stpiczyński zaśpiewa pod adresem kleru znaną piosenkę:

Pocóż, ach pocóż ja (my) cię (was) poznałem (li),
Pocóż, twój (wasz) obraz w mem (naszym) sercu tkwi,
Pocóż, ach pocóż ja (my) cię kochałem (li)
Kiedy wzajemną (y) nie jesteś mi (nam)?...

A p. Wincenty Rzymowski, przemilczawszy to wszystko,

obwieści orbi et urbi duby smalone, że to wszystko przez te przeklęte socjalisty, bo nie zwalczali kleru, a tylko na złość rządowi robili i schlebiali, a wbijali kler w pychę i „Robotnik“ zamiast zwalczać kler — walił w nas taranem, a teraz masz narodzie!...

Nie biorę tu „Robotnika“ w obronę i nie chwalę milczenia jego w tej sprawie, ale muszę powiedzieć, że najmniej powołanym do kontroli sumienia „Robotnika i Socjalizmu polskiego“ są p. p. z „Kurjera Porannego“. Przecież ci panowie współpracują z rządem, który utrwala, a nawet znacznie rozszerza stan posiadania kleru w Polsce, któremu z kolei, w miarę jedzenia, apetyt rośnie... Zamiast bębnić po próżnicy i popisywać się swem krasomówstwem—niech wykażą dobrą wolę i zwrócą siłę swego wzroku i ostrze swego pióra we w aściwą stronę, którą wyżej wskazałem; niech wykażą rządowi, który popierają, szkodliwość obecnej jego polityki w stosunku do kleru i podejmą otwartą walkę z klerem jako całością, bez faworyzowania sanacyjnych księżulków, gdyż oni mimo różnic partyjnych, wspólny mają cel i wspólnie drą z Polski skórę, zakuwając ją w kajdany ciemnoty i obskurantyzmu ad maioram dei gloriam, to znaczy na pożytek własny.

Możemy jednak być zgóry przekonani, że panowie z „Kurjera Por.“ tak dalece swego radykalizmu—by przeszkadzać rządowi w tem, w czem on widzi swój cel — nie posuną, bo łacno mogliby popaść w niełaskę; daleko lepiej wyrżnąć artykulik i upajać się nim...

Dlatego zamiast im przyklaskiwać, należy zerwać z nich maskę obłudy i pokazać społeczeństwu ich właściwe oblicze.

Stanisław Cembrzyński

Pamiętniki niewierzących*)

II

Lat 19, polak, wyznanie rzymsko-kat. Wykształcenie średnie, obecnie student filozofji Un. Warsz.

Ojciec mój jest krawcem. Utrzymuje siebie i rodzinę z pracy rąk. Nasz stan materjalny był zawsze względnie dobry. Narzekać nie można. Nędzy przez dłuższy okres nie zaznaliśmy nigdy.

Rodzice moi posiadają wykształcenie początkowe. Ojciec wychowywał się na wsi. Jest naturą nawskroś intelektualną, z małą domieszką uczuciowości, której jednak nigdy nie okazuje. Stara się kierować zawsze

*) Patrz Nr. 35 W. P.

rozumem i jest czasami krańcowo krytyczny. Od młodych lat jest wolnomyślicielem. Dzięki „Myśli Niepodległej“ stał się zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich religij, dogmatów i przesądów. Czytać i pisać nauczyłem się w Rosji, gdzie przebywaliśmy do 1918 roku. Po powrocie do Warszawy chodziłem do szkoły powszechnej; po ukończeniu jej—do I-go gimn. związku zawodowego nauczycielstwa polskich szkół średnich. Obecnie studjuję na Uniwersytecie Warsz. filozofję ścisłą, mój ulubiony przedmiot. Nie traktuję go jednak jako podłoża przyszłej pracy zarobkowej. Poświęcę się od przyszłego roku zawodowi lekarskiemu, by na tej niwie pracować społecznie.

W domu nie kładziono wcale nacisku na wychowanie religijne. Nikt mnie nie uczył modlitw, śpiewów kościelnych, zasad wiary, katechizmu.

Życie religijne rozbudziło się we mnie dopiero od szóstej klasy (1927 r.). Byłem naturą bardzo uczuciową, nastrojową. Od dziecięcych lat lubiłem samotność i marzenia. To było moje życie. Często siadywałem w kącie pokoju, gdy nikogo nie było, i snułem fantazje, baśnie niezwykłe, wpatrzony w błękit nieba. Jednak w tych chłopięcych czasach nie przeżywałem żadnych nastrojów religijnych. Chodziłem na nabożeństwa, przyjmowałem „sakramenty“ nie z wewnętrznej potrzeby, lecz pod przymusem szkoły. Strona uczuciowa była rozwinięta we mnie przesadnie, zainteresowań intelektualnych nie posiadałem, pomimo że stosami pochłaniałem książki. Nie miałem nikogo, z kim mógłbym podzielić się swemi przeżyciami. Dlatego wszystko skrywałem w sobie i z samym sobą roztrząsałem. Uczuciowość moja natrafiła na podątny grunt w domu.

Nastał ciągły brak pieniędzy, atmosfera przygnębienia i stałej troski o kawałek chleba. Ze szkoły wciąż wypędzano mnie za niepłacenie wpisu. Ja dzięki mej uczuciowości i małej aktywności zżyłem się z biedą; stała się ona dla mnie czemś naturalnem, mało, czemś niezbędnem w życiu, koniecznem do pozyskania pewnej doskonałości i zasłużenia sobie na życie przyszłe. Męka i ofiara zrosły się ze mną. Później w dalszym ciągu odbijało się to na mnie i popychało w męczące, nużące śmiertelnie objęcia pesymizmu. Najlepszym dowodem tego spaczenia psychicznego będzie następujący fakt. Począwszy od 7-ej klasy zarabiałem korepetycjami. Oczywiście wszystkie pieniądze oddawałem rodzicom, lub też spotrzebowywałem dla siebie na ubranie. Gdy przyszło wydać na najdrobniejszą rozrywkę, np. kino, to po tym fakcie przeżywałem b. dokuczliwe wstrząsy psychiczne. Nietyle tu właściwie chodziło o fakt wydania pieniędzy, ile o doznanie jakiejś rozrywki. Moją naturą był pesymizm. Śmiech, wesele i radość były dla mnie oznaką niezwykłej beztreści, pustoty, zgnilizny moralnej. Z żalem i wyrzutami, a jednocześnie z podświadomą zazdrością, patrzyłem na zdrowy, radosny uśmiech. Ilekroć

znajdowałem się na zabawie, czy przyjęciu rodzinnem, tyle razy wpadałem w ponury nastrój, uciekałem do pustki, gdzie mnie nikt zobaczyć nie mógł i płakałem. Istotną przyczyną tego wszystkiego był mój sposób myślenia, przepojony ideami religijnemi. Jakby dla zupełnego dobicia mnie i pogrążenia w piekle rozpaczy i smutku trawiącego, niczem bakterje suchot, skojarzył się on nierozłącznie ze strasznemi dyspozycjami psychicznemi mej duszy, podsycał je, rozwijał, pozwalał im krystalizować się coraz dobitniej i wzrastać nieograniczenie. Kształtował on się, jak zaznaczyłem, od szóstej klasy pod wpływem kazań szkolnych, nauki dogmatyki i etyki w 7-ej i 8-ej klasie, rozczytywania się w ewangelji, o „Naśladowaniu Chrystusa"—Tomasza a Kempis, kwiatków św. Franciszka, „Poznania i kształcenia charakteru"—ks. Ciemniewskiego i innych książek podobnej treści Żyłem sam. Ale struny mego życia wewnętrznego dzięki temu wszystkiemu napięte były na ton bardzo wysoki. Nie zastanawiałem się wtenczas nad bezsensem dogmatyki katolickiej, ale psychikę moją porwały piękne ideały Chrystusa, jego poświęcenie, ofiara i doskonałość, przedewszystkiem ta wymarzona, wyśniona, tak szalenie trudna do zrealizowania doskonałość. Reagowałem na to w swoisty sposób. Przy całej biedzie otoczenia wytworzył się ze mnie typ cichy, skromny, ofiarny. Byłem wyznawcą Chrystusa z potrzeby serca, nie napróżno rozczytywałem się w „Naśladownictwie Chrystusa". Pragnąłem silnie życia lepszego, szlachetniejszego, na wyższym poziomie etycznym, jakiego nie widziałem wokół siebie. A to mnie bardzo bolało. Wierzyłem głęboko. Ojciec nie wierzył. Do tego widziałem naokół nędzę moralną, pustkę wewnętrzną. Biedę moralną i materjalną. Postanowiłem całe życie poświęcić, by usunąć jedną i drugą. Wybrałem najśliczniejszy dla mnie, w istotnem pojęciu, zawód księdza. I ta idea ofiary łączyła mnie silnie z nauką Chrystusa.

Może to i lepiej, że moje młode lata tak zeszły w ciągłej walce z naturą zwierzęcą, z instynktami niskiemi, w zwracaniu uwagi na mą duszę, istotę wewnętrzną, charakter. Doskonalenie ich, to był mój cel najwyższy.

Dlatego tak nie znosiłem zabawy.

Natura jednak, długo krępowana zaczęła się burzyć przeciw irracjonalnym wynaturzeniom, nakazywanym przez duchowieństwo.

Jestem zdrowym, dobrze zbudowanym i zapalonym zwolennikiem sportu. Jak jedno z drugim pogodzić? Trwała we mnie ciągła walka. Natura walczyła z narzuconemi sobie horrendalnemi znamionami wyższego religijnego życia.

Traciłem wiarę stopniowo, bez większej rozterki duchowej, przeciwnie, zdobywałem coraz większy spokój wewnętrzny, wszelkie burze ucichały, stawałem się coraz bardziej normalnym, poziom mój etyczny bynajmniej nie opadł.

Stał się bardziej pewnym i trwałym, bo oparty był na fundamentach rozumu, a niejak dawniej, na chaotycznym dysharmonijnym świecie uczuć. Co dziwne: i te uczucia łatwiej mi było uporządkować, posegregować, odpowiednio nastawić. Odrzucenie religji nastąpiło na początku tego roku (19 r. ż.) Potem dopiero zacząłem czytywać „Wolnomyśliciela", który mi przypadkowo wpadł w ręce. Zadowolony jestem, gdyż wiarę straciłem sam, dzięki własnemu wysiłkowi intelektualnemu. Na pojawienie się mych pierwszych wątpliwości religijnych wpłynęło jedynie samodzielne rozmyślanie i traktowanie spraw dogmatycznych rozumowo. Innej przyczyny nie widzę, bo jej nie było. Przedtem już bywały chwile i jakieś straszne dla mnie wtedy przebłyski rozumu. Zauważyłem to, ale nie zastanawiałem się nad tem. Starałem się te myśli od siebie odpychać i zwykle spowiadałem się z nich. Mianowicie, ilekroć przypadkowo zupełnie (bo nie miałem wtenczas żadnej intencji ani celu) zastanowiłem się nad jakimś dogmatem, wydawał się bezczelnie zmyślonym bezsensem. Ksiądz, gdym mu opowiadał te momenty zdrowego rozsądku i świtania rozumu, wykazywał w tem podszepty djabelskie. Punktem wyjścia, że tak powiem, mojego ateizmu było zastanowienie się nad początkiem ewangelji. Od tego miejsca zacząłem analizować dogmaty i w rezultacie odrzuciłem wszystkie.

A więc, gdym się po raz pierwszy poważnie i już bez obawy o współdziałanie szatana zastanowił, pojęcia: bóg niematerjalny, najdoskonalszy pierwiastek bytu (wg. kościoła) obiera sobie na ziemi, jak zwykły śmiertelnik, oblubienicę, w celach matrymonialnych, zsyła dó niej swego posłańca, anioła, ma z nią syna, boga, nie mogły mi się pomieścić w głowie. Zacząłem traktować całą sprawę na chłodno, rozumowo i przyszedłem do wniosku, że pomimo całego uczuciowego przywiązania, trzeba z tem wszystkiem zerwać. I tak też zrobiłem.

Przypominam sobie charakterystyczne wypadki, zjawiska, które teraz doskonale rozumiem. Ilekroć przystępowałem do komunji, zawsze starałem się odpowiednio na przyjęcie „boga" nastroić, przygotować. Skupiałem się, przybierałem maskę powagi, dobroci, niebywałej niebiańskiej rozkoszy, jednak w rzeczywistości była to tylko symulacja (udawanie, komedja), bo w rzeczywistości nigdy nic podobnego nie odczuwałem. Dziwiłem się, że to mnie nie wzrusza. Połknąłem opłatek, a „boga" nie czułem. Ze zdziwieniem patrzałem na kolegów. Chciałem wykraść im tajemnicę, odczytać z twarzy, czy i oni doznają podobnej pustki. A może to wina własnej niedoskonałości, źle odbytej spowiedzi? bóg wzdraga się wejść

w brudny przybytek? Tak! O tyle byłem naiwny. Teraz wiem, jak to sobie wytłumaczyć.

I w ten sposób, w miarę zastanawiania się, przybywało coraz więcej argumentów przeciw dogmatom i wierzeniom religijnym. Zbyt wielkim byłem jednak idealistą, bym mógł odrzucić wszystko. Wierzyłem nadal w boga, przyszłe życie, nieśmiertelność duszy. Wprost dlatego, że tych zagadnień nie ruszyłem rozumem, skryłem głęboko w sercu, wytwarzałem w wyobraźni swój idealny o nich obraz, nadający im zupełnie inne znaczenie, niż głosi kościół. Byłem już wolnomyślicielem.

Pozwolę sobie przytoczyć charakterystyczne momenty w chwili przełomu i w okresie wątpliwości, zapisane w pamiętniku:

„Boże Najdroższy!" Powiedz mi Jezu, czemu słudzy Twoi spaczyli Twe idee? Czemu nie postępują według nich. Czyż oni mogą mieć jakąś władzę nadziemską? Czyż mogą być pośrednikami między Tobą i braćmi swymi. Czyż, Jezu! przebywałbyś wsród nich dlatego tylko, że noszą suknię duchowną, długą, czarną, symbol poświęcenia się Tobie i mienią się być (tam) Twymi sługami? Nie, Boże! Ty nie możesz być tam, gdzie fałsz, interes, obłuda, najskrajniejsze zmaterjalizowanie rozparło się, gdzie zgnilizna moralna zapuściła swe, trądem zepsucia okryte, ssawki. Lecz czemu pozwolisz, Chryste, by hańbili Twą świętą naukę, by wykorzystując ten najszczytniejszy i jedyny możliwy w życiu idealizm, popychali ludzi w jeszcze głębsze przepaści ciemnoty i zepsucia, niż byli dotąd, bo rozczarowywali i odbierali najistotniejszą treść życia: wiarę? O nędzni! biedni, zaślepieni ludzie. Uważają się za arystokrację ducha, a stworzyli z szeregów swych arystokrację spaczenia. Jezu! daj im poznać, jak wiele szkodzą, jak wiele nieszczęść przynoszą, jak strasznie rozdzierają dusze swych braci — a może przytłoczeni ogromem tych klęsk, sprawianych ludzkości, zmienią się. Ach, gdybyż przynajmniej, spaczając najpiękniejszą formę życia, wyrwali z duszy ludzkości nieśmiertelne dążenia, boskie pragnienia, bo pragnienia duszy boskiej. Ale niezdolni są ich wyrwać z serc naszych. Boć one są jedyne, przenoszące nas myślą, marzeniem, do innych, piękniejszych światów. Głoszą prawa boskie, a występują przeciw nim. Gwałciciele najszczytniejszego porządku. Odebrali duszy ludzkiej jej odpowiednik: Boga. Odpowiednik, bez którego nicby nie istniało, a gdyby istniało, to zwierzęce w najokrutniejszej formie. Odpowiednik, dający nam tu, na ziemi, jedyne możliwe szczęście cząstkowe, a całkowite dopiero przy Tobie. Słusznie, szczęście materjalne nie może być nigdy całkowite; a więc jako coś niematerjalnego, w całej swej jaźni osiągalne jest dopiero po śmierci. Największe szczęście, jakie może człowieka spotkać, to styczność z Bogiem".

Widać wyraźnie, że był to jeszcze okres, w którym nie wyzbyłem się wszystkich naleciałości klerykalnych.

A oto drugie miejsce, pisane w przeszło pół roku po tamtym zapisku:

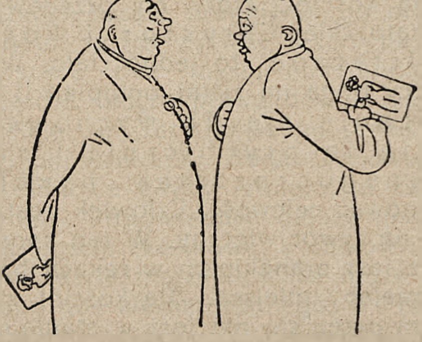
„W ostatnich czasach zmieniłem się bardzo. Odrzuciłem nareszcie precz klerykalne przesądy i wierzenia. Przejrzałem dziejowy fałsz ich rzeczników—księży. Już oddawna miewałem czasami dziwne sytuacje. Rozum w pewnych chwilach podawał im horrendalnie logiczne wątpliwości. Jednak wtenczas występowało uczucie i bezwzględnie wszelkie takie odruchy tępiło. Zczasem zaznaczyła się przewaga rozumu. Już nie tak łatwo można było go zepchnąć ze stanowiska. Stąd powstały rozterki wewnętrzne i to trawienie godzin na niczem. Aż nakoniec zbyt przewrażliwione, wybujałe uczucie, które dla siebie jedynie zagarnęło władzę uznania czegoś lub odrzucenia, uległo, zostało pokonane. Dotychczas mało zastanawiałem się nad dogmatami wiary. Ale oddawna jedna rzecz mnie uderzyła. Ilekroć chciałem przez pryzmat rozumu na nie spojrzeć, przetwarzały się w jakieś horrendalne głupstwa i fałsze. Rozumowo nie mogłem żadnego z nich udowodnić. Więc jakto? Prawda objawiona przez boga, głoszona przez wybrańców jego, nie jest zgodna z rozumem, wręcz zaprzecza logicznemu myśleniu. Trzeba ją brać uczuciowo, lub uważać za tajemnicę św. Bo innego wyjścia niema. Śliczna prawda! Rozczłonkowany na trzy części bóg kościoła katolickiego tak bardzo miłował ludzkość, że postanowił ułatwić jej drogę do siebie przez dogmaty. Bóg, ta istota niepojęta przez człowieka, został całkowicie urobiony przez klikę błaznów papieskich, dufnych w siebie i w swój rozum, z powodu wodzenia za nos ludzkości przez dwadzieścia wieków. Oto obraz tego boga: przedewszystkiem wybiera sobie oblubienicę na ziemi, która z tego powodu została uznaną za niepokalanie poczętą; do niej posyła swego drużbę, anioła Gabrjela, zwiastującego poczęcie syna, zapłodnionego za sprawą ducha św. Bóg ten teraz władzą swą dzieli się z dwoma innemi: z synem swoim i duchem św. Ale i syn boży znajduje sobie na ziemi oblubienicę; jest nią kościół, który on przedewszystko ukochał. Według etyki katolickiej Chrystus i kościół to małżeństwo mistyczne, to jedno ciało. W ten sposób wybrańcy i zastępcy boga na ziemi ogłupiali i ogłupiają ludzi. Przez wtrącanie się do wychowania młodzieży koszlawią ją psychicznie i są przyczyną całego szeregu rozterek psychicznych. Na świecie ma panować celowość. Człowiek został stworzony, by zasłużyć sobie na żywot wieczny. W ten sposób ma on wolną wolę i nie jest manekinem w rękach boga. Bo wtenczas celowość nie miałaby miejsca. Ale kościół zaznacza, naucza, że człowiek sam przez się nie jest w stanie nic dobrego uczynić, że jest z natury swej zły. Jedynie przez łaskę boską wyproszoną u boga i jedynie za pośrednictwem i przy pomocy boga może uczynić jakieś dobro. A więc gdzie ta niezależność człowieka? gdzie celowość? gdzie wolna wola? Więc z jednej strony bóg daje nam wolną wolę, byśmy sami wy-

walczyli sobie pewną wartość intelektualną, moralną, wspięli się na poziom duchowy godny człowieka, za co (pojęte bardzo egoistycznie i zgoła po kupiecku) później ma nas spotkać szczęście wieczne, a z drugiej strony bez jego pomocy nic dobrego nie jesteśmy w stanie zrobić. A co będzie, jeżeli człowiek z całej duszy pragnie dobra, pragnie doskonałości moralnej, w walce z pokusą, jednak sił mu nie starczy, błaga więc boga o pomoc — przecież bóg powinien mu jej udzielić, boć bez niego ten człowiek nic nie zrobi — i ta pomoc nie nadchodzi. Ja sam najlepiej przekonałem się o tem. Ot fałsz, ot obłuda, kłamstwo najwyższego rzędu, zasiewane w dusze naiwnej młodzieży przez księży. Módl się — a wszystko zyskasz. Osłabienie wiary człowieka w jego własne siły. Czynienie z niego wiecznego pętaka, jakby kilka znaków magicznych uczynionych i słów wypowiedzianych zobowiązywało boga do zmieniania ustanowionych i niezmiennych praw natury. Ciągle oglądanie się na pomoc boga." To tyle.

Poza poszukiwaniem czystej prawdy i woli pójścia przez życie po prawdziwej drodze bez balastu kłamstwa nie kierowały mną żadne inne względy. Nie obawiałem się również, że spadnę w życiu na niższy poziom. Owszem, czuję się teraz o wiele silniej i lepiej. Jakiś kamień ciągłej zgryzoty, ciężar przygnębiający spadł ze mnie. Stałem się sobą! Nabrałem ochoty do życia, przekonałem się, że wszystko dawne było słabością tylko. Czuję się rzeczywiście wolny, niczem nie skrępowany. Przy tem wszystkiem jednak nie wyzbyłem się kontynuowania celu mego życia szlachetnego, wyższego (dla mnie jest takiem życie intelektualne) o wysokiem napięciu moralnem, sięgającego po coraz wspanialsze wartośc.i

W. C.

MORALIŚCI...



...grzmią z ambony przeciwko „nieczystemu naczyniu", a jednak marzą o niem i wstydzą się nawzajem przyznać do tego...

WYSTĘPUJCIE Z KOSCIOŁÓW I GMIN WYZNANIOWYCH!

Kronika

Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA P. Z. M. W. w POZNANIU

Doskonale rozwijające się Koło poznańskie P. Z. M. W. urządziło w dniu 1 października r. b. publiczne zebranie w sprawie obrony wolności sumienia pod przewodnictwem przewodniczącego Koła ob. Grupy. Przemawiali: przedstawiciel Zarządu Głównego, oraz działacze miejscowi ob. Rosiński, i ob. Rusinek, redaktor poznańskiej „Walki ludu". W zebraniu wzięło udział przeszło tysiąc osób, przeważnie ze sfer robotniczych. Zebrani uchwalili jednogłośnie żądanie zerwania konkordatu i rozdziału kościoła od państwa ze wszystkiemi skutkami prawnemi oraz usunięcia ze szkół nauki religji z katechizmem na czele, który ogłupia chłopów i robotników, aby stali się podatnym materjałem dla wyzysku.

Po zamknięciu zebrania uczestnicy samorzutnie zaintonowali „Czerwony sztandar".

Zainteresowanie, jakie robotnik poznański wykazał dla spraw i haseł wonomyślicielskich, każe być nam jak najlepszej myśli co do dalszego postępu idei Wolnej Myśli w naszych województwach zachodnich, uważanych dotąd za Beocję Polski i burzy do gruntu utarte mniemanie, że b. zabór pruski, to dzielnica raz na zawsze stracona dla postępu umysłowego. Robotnik ten ma tę przedewszystkiem zaletę, że czyta. A to est bardzo dużo.

ILOŚĆ PARAFIJ i KOŚCIOŁÓW w POLSCE

Wg. ostatnich danych statystycznych mamy w Polsce:

	parafij, gmin wyznaniowych:	kościołów, kaplic i świątyń:
rz. katolickich	5241	5918
gr. katolickich (unickich)	1974	3151
prawosławnych	1624	2076
ewangielickich	701	827
marjawickich	70	67
żydowskich	1067	2041
mahometańskich	18	16
karaimickich	4	4
babtystycznych	13	16
wolnoreformowanych	1	1
jednoty chrześcijańskiej	1	1
	10714	14118

Katolików jest 63,8°/₀, unitów 11,2°/₀, ewangielików 3,8°/₀, prawosławnych 10,6°/₀, żydów 10,5°/₀.

HITLERYZM JUGOSŁOWIAŃSKIEGO PRAWOSŁAWJA

Patrjarcha Jugosławji wydał polecenie podwładnemu sobie duchowieństwu, aby udzielało rozwodów jeżeli jedno z małżonków przejdzie na prawosławje i chce zawrzeć nowy związek małżeński z osobą prawosławnego wyznania. Rozwodu należy również udzielić, jeżeli prawosławny małżonek przejdzie na inne wyznanie chrześcijańskie.

Tego pana nic nie obchodzą żywi ludzie, a zwłaszcza los dzieci. Obchodzi go tylko „rasowość" wyznaniowa. Ponieważ w Jugosławji niema rozdziału cerkwi od państwa, prawo popiera te nieporządki „wyższego porządku", pokrywa je i sankcjonuje.

Oto tak wygląda życie, normowane przez „nadprzyrodzeńców".

W PARU SŁOWACH

„Ozdobienie" posągu. Jak donosi „Kurjer warsz." Nr. 206. papież poświęcił pewien posąg, ufundowany przez karmelitów z góry Karmelu i jednocześnie ozdobił go jak kochankę kosztownym naszyjnikiem z pereł i ametystów na złotym łańcuszku.

Z Czechosłowacji. Jak donosi „Volne slovo", 90 proc. bezwyznaniowców Czechosłowacji, których jest już zgórą miljon, to b. katolicy. Pozostałe 10 proc. to niemcy, żydzi i rusini.

Indeks rośnie. Z okazji 25-lecia wyklęcia imiennie przez Piusa X znanego przywódcy modernistów francuskich, ex księdza Alfreda Loisy, autora kilkunastu prac naukowych z dziedziny religjoznastwa, uczeni francuscy zwołali kongres historyków chrześcijaństwa i wydali kilka prac z tego zakresu pod redakcją profesora Couchoud. Wszystkie te prace inkwizycja potępiła, a papież kazał je wnieść na indeks ksiąg zakazanych. Potępiono przytem i pracę Karola Guigneberta z zakresu krytyki religijnej.

ZSRR. Od stycznia do końca czerwca r. b. zamknięto w Rosji dalszych 268 cerkwij i kościołów, z których część rozebrano, a większość zamieniono na ośrodki propagandy bezbożniczej.

Nic dziwnego, że papież tak wciąż wzdycha do konkordatu z sowietami. Ale cóż? Dziad przemawia do obrazu, a obraz doń ani razu.

Myślą, że na to dziś kto zważa. Z powodu rewji kawalerji, jaka się odbyła podczas obchodu 250-lecie Odsieczy wiedeńskiej w Krakowie, arcybiskup krakowski Sapieha udzielił „wiernym" dyspensy od postu, przypadającego w piątek dnia 6 b. m.

Zakonnice walą żerdziami. Jak donosi „Robotnik“ 4.X. ...„w sądzie grodzkim w Zamościu rozpatrywano skargę 70-letniej staruszki, Anny Gieleckiej, przeciwko trzem siostrom zakonnym: Marji Przybysławskiej, Jadwidze Omelan i Kazimierze Żebrackiej, oskarżonym o to, że 5 września 1933 r. o godz. 6 rano pobiły żerdziami i pięściami oskarżycielkę Gielecką, powodując poważne uszkodzenia ciała, m. in. złamanie żebra.

Gielecka na pewien czas przed pobiciem przepisała rejentalnie na ochronę, prowadzoną przez zakonnice, nieruchomość z ogrodem w Zamościu. Darowiznę tę uczyniła naskutek obietnic przyszłej szczęśliwości i nacisku ze strony zakonnic, ale potem rozpoczęła kroki w kierunku odwołania darowizny, którą, jak twierdzi, wyłudzano od niej. Pobożne siostry tak się uniosły, że staruszkę pobiły żerdziami i pięściami.

Z „sióstr“ na rozprawę stawiła się tylko jedna — Marja Przybysławska. Dwie inne wyjechały „w niewiadomym kierunku“. Sąd grodzki sprawę odroczył i zarządził poszukiwanie niestawających oskarżonych“.

A no, wymknęła się z rąk darowizna — i stąd żerdzie w robocie. „A kto daje i odbiera — ten się w piekle poniewiera“ — powiada przysłowie. A w piekle podobno djabli walą czem się da.

Z Austrji. W austrjackim oficjalnym „Gesetzblacie“ ogłoszono rozporządzenie w sprawie występowania z kościołów i przechodzenia do bezwyznaniowości. Wszystkie deklaracje tego rodzaju mają być odtąd poddawane kontroli policyjnej. Kontrola ta ma ustalać, czy zgłoszenie było powzięte z dobrej, nieprzymuszonej woli i czy jest... autentyczne. Następnie deklaracje o wykreślenie z kościoła mają być indywidualne, a nie zbiorowe. Niewolno również rodzicom wypisać dziecka z kościoła, z chwilą gdy ukończy ono 14 rok życia.

Te ograniczenia mają na celu powstrzymanie masowej akcji występowania z kościoła na skutek agitacji austrjackiej partji socjalistycznej, która w tym kierunku nie przestaje działać.

Z boga trzeba być zawsze zadowolonym.. Sąd okręgowy w Sosnowcu skazał na rok więzienia inwalidę wojennego, Asmendę, który wyraził publicznie swoje niezadowolenie z niebios, utrudniających mu pogodne zebranie zboża z pola. Są to skutki wiary w boga. Gdyby był ateuszem, nie siedziałby w więzieniu: wiedziałby bowiem, że pogodą czy niepogodą rządzi zgoła co innego, niż bóg, który jest tylko oderwanem pojęciem i materjalnie po „ludzku“ nie istnieje.

Z Hiszpanji. Nowy rząd uchwalił rozwiązanie parlamentu. Wybory rozpisano na 19 listopada. W wyborach tych wezmą poraz pierwszy udział kobiety, którym republika przy-

znała prawo wyborcze. Z tego względu kler, który chce się odbić za wszelką cenę, mobilizuje dewotki gdzie może i jak może. Jak nam donoszą, ludność hiszpańska jest tak obojętna na sprawy religijne, iż mimo wszystko wątpliwą jest rzeczą, czy nadzieje kleru się spełnią. Ludność ta zaledwie toleruje kler świecki i to głównie na wsiach; a zakonnego — nienawidzi. Rząd jest całkowicie masoński. Laicyzacja szkolnictwa postępuje naprzód szybkiemi krokami.

„Jagnięta" z wilczemi kłami. Niemcy wystąpiły z Ligi Narodów i wycofały swoich delegatów z konferencji rozbrojeniowej, ponieważ... mocarstwa nie chcą się rozbroić i pacyfikacja świata za wolno postępuje. I to mówi klika, która zbroi się w przyśpieszonym tempie i zwalcza pacyfizm z pianą furjata na ustach. Aby cała ta komedja stała się kompletną farsą, Hitler rozwiązał parlament i rozpisał nowe wybory na grudzień po to, aby cały naród niemiecki „jak jeden mąż w zwartym szeregu opowiedział się za (tą) decyzją i deklaracją" „wodza".

Skończona misja ks. Łagody w Misji katolickiej. Na czele ekspozytury „duszpasterskiej" wśród wychodźtwa polskiego we Francji, nazwanej „Misją Katolicką" — Hlond postawił niejakiego ks. Łagodę, którego „lojalność" wobec władz polskich była tak „poprawna", aż ministerstwo spraw zagranicznych musiało zażądać stanowczo jego odwołania z dniem 1 października. W związku z tem prasa klerykalna (zob. „Przegląd kat." Nr. 39) wystąpiła z łokciowemi nekrologami dla „łagodnego" ks. Łagody, podnosząc pod niebiosy jego poprawną lojalność względem władz polskich, która niestety „nie była odpowiednio zrozumiana". Takich „niezrozumianych" „lojalistów" w rodzaju ks. Łagody jest na terenie Francji znacznie więcej. Wiemy to dobrze od naszych czytelników i korespondentów z Francji. Ciekawi jesteśmy, czy ministerstwo spraw zagranicznych i do nich zabierze się w końcu.

Powakacyjne awantury na uniwersytetach już się rozpoczęły. W dniu 14 b. m. wybuchły na uniwersytecie warszawskim pierwsze powakacyjne awantury. Trupów jeszcze niema, ale są już ciężko ranni.

Antybezwyznaniowa Liga mocarstwowa. „Liga mocarstwowa" rozplakatowała po murach Warszawy odezwę do młodzieży, wstępującej na uniwersytet, aby wstępowała do Ligi pod hasłem zwalczania: komunizmu, endectwa i bezwyznaniowości. Tej ostatniej dlatego, że Liga mocarstwowa uważa „zasady etyki katolickiej za podstawowy fundament państwa". Ponieważ znamy władze owej antybezwyznaniowej Ligi, uśmialiśmy się serdecznie z tego agitacyjnego figla, który naszem skromnem zdaniem do celu nie doprowadzi. To też wspomniane

ligowe plakaty znikły w bardzo krótkim czasie z murów Warszawy, usunięte niewiadomo przez kogo. Natomiast młodzież wstępuje gdzie się da — tylko nie do Ligi.

„Sytuacja religijna w Turcji“. Pod tym tytułem „Kurj. warsz“, stwierdza w n-rze 244, że liczba chrześcijan w Turcji stale się zmniejsza.

Z ruchu wolnomyślicielskiego w Czechosłowacji. Korzystając ze wzburzenia opinji publicznej z powodu zuchwalstw warcholskich nuncjusza Ciriacciego (Czirjaczziego), wolnomyśliciele czechosłowaccy urządzili w Pradze i w innych większych miastach Czech szereg manifestacyjnych wieców pod hasłem walki z klerykalizmem i reakcją, oraz wydali agitacyjną broszurę p. t. „Sprawa nuncjusza Ciriacciego“ — „Pripad nuncia Ciriaciho“.

Nowe dziwactwo amerykańskie. Pewien drukarz w Los Angelos pracował przez dwa lata nad drukiem egzemplarza pisma św., który waży przeszło tysiąc funtów.

Głoski tej olbrzymiej księgi są tak duże, iż można je odczytać z odległości kilkunastu metrów.

Gdy ta księga obejmująca 8.000 stronic, została nareszcie ukończona, w żadnem kościele nie można było znaleść dla niej odpowiedniego miejsca. Ale pomysłowi amerykanie wcale się tem nie przejęli: zbudowali specjalną „świątyn'ę“, mogącą pomieścić setkę osób, i w niej ową biblję złożyli. (Por. Kurj. Warsz. Nr. 147)

Radość KAPry. W IKC z 7 b. m. czytamy następujący komunikat:

(KAP) Przykra przygoda sekciarzy Babtystów. W ubiegłą niedzielę we wsi Prądniki koło Mołodeczna zapowiedziana była uroczystość „chrztu“ 17 nowych, pozyskanych przez sektę baptystów. „Chrzest“ miał się odbyć nad stawem. Kiedy jednak zebrali się duchowni baptyści, z pozyskanych 17 włościan zjawiło się zaledwie 4. Jednak i tych baptyści nie mieli sposobności „ochrzcić“, gdyż koło stawu zebrała się grupa kobiet uzbrojonych w kije i pod groźbą pobicia zmusiła sekciarzy do ucieczki. Jeden z baptystów, niejaki Lidziun, wepchnięty został do stawu i gdyby nie pomoc jednego z fuukcjonarjuszy policji, niezawodnie byłby utonął, gdyż nie umiał pływać,

Z tego sens taki, że kto chce w Polsce przyjąć „chrzest“ (cudzysłów kaprowy) baptystyczny, musi wpierw nauczyć się pływać i zwrócić się do policji o pomoc przed katolickiemi „tolerancyjnemi“ kijami.

P. Prezydent Rzeczypospolitej oświadczył niedawno (W. P. Nr. 25) pastorowi Joergensonowi, że Polska nietylko

toleruje każde wyznanie, ale ma dla nich szacunek. Byłoby to wszystko prawdą, gdyby nie owe kije, włożone w ręce katolickim babom przez opłacanych przez państwo nietolerantów.

Głosy czytelników

Z WALK o WOLNOŚĆ SUMIENIA w VATICANO-POLONJI w XX w.

...W związku z mojem oficjalnem wystąpieniem z kościoła (30.IV.1932) zaczęła się przeciwko mnie podjazdowa walka najpierw poza szkołą, a następnie w samej szkole. Na zwołanem przez kierownika szkoły zebraniu rodzicielskiem miejscowy katecheta wygłosił referat „o religijnem wychowaniu dzieci". W dyskusji, jaka się po tym referacie rozwinęła, zaatakował mnie i mego kolegę, który wystąpił z kościoła razem ze mną.

Piętnował zwłaszcza nasze zachowanie się w kościele w czasie dyżurów niedzielnych, nieklękanie, nieżegnanie się, niecałowanie krzyża, niemaczanie rąk w wodzie „święconej" i t. p. Jeden z nastawionych obywateli żądał usunięcia nas, olbrzymia jednak większość rodziców opowiedziała się za nami i to w obecności księdza. Wobec tej klęski na terenie szkoły „akcja katolicka", inspirowana przez katechetę, postanowiła wszcząć zbieranie podpisów na mieście.

Rodzice, których dzieci myśmy uczyli, wszczęli także akcję zbierania podpisów za nami, t. j. za tem, byśmy pozostali w... Podpisało się 63 osoby i to przeważnie matki. Przeciwnicy zebrali wprawdzie kilkanaście podpisów więcej, lecz osób zupełnie niezainteresowanych, bo niemających, z wyjątkami, dzieci w szkole (podpisali: służba kościelna, członkowie „akcji katolickiej", bractw kościelnych i t. p.). Obydwie delegacje złożyły te podpisy wraz z odpowiedniemi żądaniami Inspektorowi szkolnemu. W międzyczasie złożyłem podanie do Inspektora o zwolnienie mię z dyżurów kościelnych. Otrzymałem odpowiedź o d m o w n ą wraz z przypomnieniem świętego okólnika p. Bartla.

W marcu r. b. przyjechał na wizytację zastępca Inspektora. Po wizytacji, w rozmowie na temat naszego wystąpienia z kościoła, kazał nam złożyć podania o p r z e n i e s i e n i e „bez wymienienia miejscowości" i dał nam cztery dni czasu do namysłu, po którym to terminie, wrazie niezłożenia podań, z a g r o z i ł z ł o ż e n i e m wniosku do Kuratorjum o przeniesienie nas „nawet poza granice kuratorjum". Kolega mój wniósł podanie, ale już po terminie i z zupełnie innych względów o przeniesienie do... lub..., na które nie otrzymał odpowiedzi. Ja nie złożyłem wcale.

Na przeniesienie służbowe czekaliśmy do 6-go września r. b. Rok szkolny rozpoczął się i sądziliśmy, że z tego nic nie będzie. Tymczasem akcja katolicka, dowiedziawszy się o moim ślubie cywilnym z koleżanką, zawartym w czasie wakacyj, zaczęła pienić się ze złości. Na zwołanem przez księdza z ambony zebraniu rodziców, uchwalono na znak protestu przeciwko naszemu ślubowi cywilnemu... strajk szkolny. Z tą uchwałą delegacja pojechała do Inspektora. Tymczasem w oznaczonym dniu strajku... wszystkie, dosłownie: wszystkie dzieci przyszły do szkoły. I strajk się nie udał. Delegację Inspektor zaspokoił oświadczeniem, że sprawa jest w Ministerstwie. Czekamy więc wszyscy decyzji Ministerstwa.

W dniu 6 września mój kolega otrzymuje dekret przeniesienia do zupełnie innej miejscowości, a 11 września — ja. Obydwa dekrety podpisywał wicemin. p. K. Pieracki. Żona moja została nadal na dotychczasowem stanowisku. Zacząłem robić starania, by żonę przeniesiono na własną prośbę do sąsiedniej wsi w drodze zamiany z nauczycielką, która bardzo chętnie godziła się na tę zamianę. Na to odpowiedział mi Inspektor, że w ciągu roku szkolnego jest to niemożliwe, zresztą zgodziłby się na przeniesienie żony, jeśliby ta druga nauczycielka, była równie dobrą siłą jak moja żona.

Pracujemy więc—ja w..., a żona w... oddaleni od siebie o kilkadziesiąt km. Wieś, w której pracuję — jest b. klerykalna. Kościół na miejscu, na każdym domu wisi obrazek z „matką boską“. Dzieci szkolne, wyuczone bezmyślnie przez mą poprzedniczkę starą pannę i dewotkę, na każdym kroku na ulicy, w klasie — witają mię słowami: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Powoli odzwyczajam je od tego, lecz nie jestem pewien, czy znów nie „wyłoni“ się na tem tle jakaś nowa awantura.

...Narazie wróg tryumfuje.

Ugiąć mię jednak nie ugięli, ani nie złamali. I nie ugną!

Łączę wolnomyślicielskie pozdrowienia

N. N.

OD ADMINISTRACJI

Otrzymujemy zewsząd dalsze zapotrzebowania na nasz dodatek „Błyski“, których I-szy numer został rozchwytany.

Jest to objaw niezwykle pocieszający, dający nam pewność, iż znajomi i nieznajomi nasi przyjaciele nie ustaną w współpracy z nami w kierunku masowego rozpowszechniania „słowa“ wolnomyślicielskiego.

Jesteśmy jednak nienasyceni: wzywamy do dalszej wytężonej pracy, aby w strasznych czasach przeżywanego kryzysu szerokkie masy znalazły w naszych wydawnictwach otuchę

i radość w ich walce o lepsze Jutro, liczącej na własne siły ludu, a nie na nieistniejące pomoce pozaziemskie.

Oczekujemy zwiększonych zleceń na n-r. 2-gi „Błysków", mających się ukazać 1 listopada r. b.

Pośpiech zamówień jest wielce pożądany!

ODCZYTY W POLSKIM ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ
Warszawa, Królewska 16

W dniu 21 października r. b., w sobotę o godz. 8-ej wiecz. ob. *dr. J. BUDZIŃSKA-TYLICKA* wygłosi odczyt p. t. „POLITYKA POPULACYJNA".

W dniu 28 października r. b., w sobotę o godz. 8-ej wiecz. ob. *adw. WACŁAW ŁYPACEWICZ* wygłosi odczyt p.t. „NOWY MIĘDZYNARODOWY PORZĄDEK ŚWIATA".

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

(łącznie z „Błyskami wolnomyślicielskiemi").

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie zł. 1.75
półrocznie	„ 10.00	zagranicą 3 i pół dol. rocznie
kwartalnie	„ 5.00	numer pojedyńczy 60 gr.

PRENUMERATA „BŁYSKÓW" (bez „Wolnomyśliciela Polskiego")

Za 1 egz. rocznie	zł. 1.20	Za 10 egz. rocznie	zł. 9.00
„ 5 „ „	„ 5.00	„ 10 „ półrocznie	„ 4.50
„ 5 „ półrocznie	2.50	„ 10 „ kwartalnie	„ 2.25

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 218-14.
Konto czek. P. K. O. 14.200.

Redaktorka **Marja Jankowska**—Wyd.: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu".**

Druk. F. Kierski, Warszawa, Żelazna 28, tel. 286-54.
Odbito w Zakładach Graficznych L. Wolnickiego, ul. Długa 46.